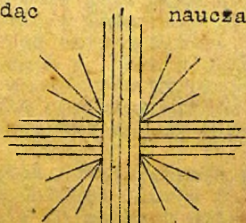


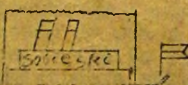
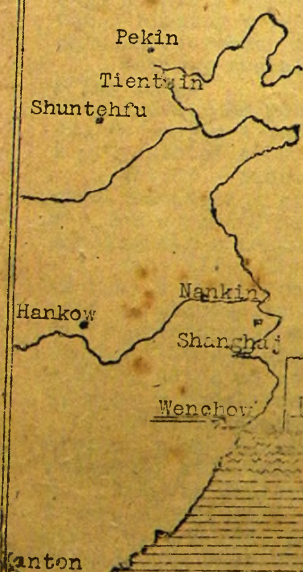
# Misjonarz w Wenchow

温州傳教的神父

Idąc naucajcie



wszystkie narody



Wydawnictwo Polskich Księży Misjonarzy w Chinach.  
Adres Redakcji: Catholic Mission Wenchow, Chek. China.

Wyd. ks. P. Kuryła.



M I S J O N A R Z  
W  
W E N C H O W

( Wychodzić będzie, o ile możliwe, co miesiąc )

Rok II

Maj, 1939

Nr. 5

Pogański Żłóbek w Wenchow .  
Siostry Miłosierdzia .

Ks. W. Ciemała C.M.



Z początkiem kwietnia 1919 roku S. Lebrun, wizytatorka SS. Miłosierdzia w Chinach, przyjechała do Wenchow, by oficjalnie objąć zarząd Żłóbka. Pierwszą przełożoną zostaje S. Maria Costerton a do pomocy dodano jej S. Julię Tsang. Odtąd Siostry wzięły w swe ręce dyрекcję zakładu. Zamieszkały w domu zarezerwowanym dla administratorów.

Zawarty został kontrakt między Siostrami a mandarynem Huang K'ing Lang.

Art. I.- Na początek administracja prosi o dwie Siostry: jedną Europejkę i jedną Chinkę. Liczba Sióstr może być zwiększona w przyszłości stosownie do potrzeb dziecka.

Art. II.- Siostry dostosują się do regulaminu już istniejącego. Obowiązują się czuwać nad personelem zakładu mogąc przyjmować lub wyrzucać karmicielki i inną służbę za uprzednim porozumieniem się z administratorami.

Art. III.- Siostry będą również czuwały nad dziećmi, umieszczonymi w rodzinach poza Żłóbką. Każą je sobie przynosić dwa razy na miesiąc, by się przekonać - jak rodzina spełnia swe zadania i poinformują o tem administrację. Będą płaciły żywicielki i dodawały otuchy niewiastom zaniebującym się w swych obowiązkach. Siostry pójda od czasu do czasu osobiście doglądać dzieci umieszczone w rodzinach, o ile to tylko będzie możliwe.

Art. IV.- Administracja zobowiązuje się do zarezerwowania wystarczającego lokalu dla Sióstr w zakładzie. Lokal może być powiększony stosownie do liczby Sióstr.

Art. V.- Siostry nie będą pobierały pensji. Każda otrzyma 6 \$ meks. miesięcznie na odzież i małe wydatki. Wielkie zakupy prowiantów, jak ryż, węgiel, drzewo, leguminy i t.d., poczyni administracja. Na małe zakupy i wydatki dzienne Siostry otrzymają każdego miesiąca pewną sumę od administracji, z której zdadzą dokładny rachunek.

Art. VI.- Siostry będą miały mieszkanie, opał, pożywienie, swia-



tko, pranie bielizny na koszt administracji. Zgromadzenie Sióstr będzie wyznaczało Siostry, które będą usuwalno; będzie się również starało o ich bieliznę i dodatkowo raczy.

Art. VII.- Powyższy kontrakt jest ważny na 5 lat. Jeśli obie strony będą zadowolone, kontrakt będzie przedłużony sam przez się. W wypadku, jeśli Siostry będą chciały się wycofać, albo administracja chciała by im podziękować, należy powiadomić stronę zainteresowaną rok naprzód.

Mandaryn i wpływowi panowie miasta podpisali powyższy kontrakt. Podobnie uchwalono warunki współpracy wzajemnej.

Siostry - stosownie do kontraktu - zaczęły swą pracę organizatorską. Przejżdmy się do tabudowań Żółtki. Jest to prawdziwe małe miasteczko, składające się z licznych domków, świeżo zbudowanych. We wnętrzu zaduch okropny, brud jeszcze większy i Sierotki pokryte strupami, głodne, ubrane w obrzydłe szmaty. Dużo umiera z głodu. Niedola dziecka wzruszyła by nawet kamienne serce! Żywicielki, które mają być dla niego matką - pozostają dla niego obojętne; żywią swe własne dzieci za pieniądze, którymi mają żywić sieroty. Dwu lekarzy chińskich a właściwie znachorów, ubranych w eleganckie togi, spogląda z wysoka na ten biedny lud ek przeczony. Statystyka urzędowa z tego okresu zaznacza 3-4 zgony dziennie, mniej więcej 100 zgonów miesięcznie. Taki był stan dotychczasowy mieszkańców Żółtki.

Siostry od razu zabrały się do reformy wewnętrznej dzieła. Dużo było do zrobienia. W pierwszych dniach mycie łokali i umiwalkowania. Higiena dotychczas nieznaną - zmieniała Żółtek do nie poznania. Oczywiście służba spoglądała krzywym okiem na te nowe i niebываłe dotąd rozporządzenia higieniczne Sióstr. Na Żółczkach pojawiła się czysta pościel i czyste pieluszki. To nadzwyczajne wydatki luksusowe pokryły Siostry ze swych oszczędności. Dla dotychczasowych kuratorów pieluszki europejskie dla niemowląt były naprawdę luksusem. Dotychczas były w użyciu pieluszki z grubego papieru skólanego. Na Żółczkach zawisły siatki przeciwko komarom. Także nowość. I tak z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, Żółtek ulegał zasadniczym zmianom na lepsze.

Należało zaprowadzić także porządek wśród służby. Połowa służby kłobiecej to wówoy. Mandaryn Huang K'ing Lang powiedział osobiście pewnego razu do Sióstr: "Wśród tych kobiet nie potrafiłbym wskazać uczciwej. Proszę wyrzucić bez pardonu wszystkie te, które prowadzą się źle. Mam wielkie zaufanie do was i to tylko do was!!! Jeszcze raz powtarzam, niemaam zaufania do nikogo, tylko do was!"

Do gubernatora Prowincji pisze o Sióstrach, mówiąc: "Chodziłbym często do Żółtki dla sprawdzenia rozwoju dzieła. Zauważyłem, że Siostry są dla pielęgniarek i służących na przemian surowe i dobre według sprawiedliwości; dla sierót bezwzględnie oddane. W niczym nie przywłaszczają sobie władzy administratorów." Oto - jakie pogania wyda je świadectwo o katolikach!



Po kilku miesiącach pierwsza Przełożona ustępuje. Na jej miejsce przychodzi nowa, bardzo energiczna S. Francois Petit, Francuska. Odtąd Żłódek rozwija się tempem przyspieszonym. Administracja prosi o dwie następne Siostry - Chinki. Według kontraktu - Przełożona ma być Europejka, inne Siostry tubylcze. Kilka lat później przybywają jeszcze dwie nowe Siostry do pomocy. Obecnie więc pracuje tam sześć Sióstr, każda na swym oddziale. Praca ich w ostatnim czasie wielce się rozszerzyła: przydzielono im także opiekę nad starcami w mieście i otworzono nowy pawilon dla chłopców, nie mających opieki rodzicielskiej.

Dotychczasowy lokal siostrzański okazał się za mały. Administracja buduje nowy dom, przeznaczony wyłącznie dla Sióstr, ograniczony od reszty zabudowań wysokim murem. Siostry więc są zupełnie u siebie. Na piętrze domu siostrzańskiego - duża sala przeznaczona na kaplicę domową Sióstr i sierot. Z biegiem czasu kaplica okazała się za małą i znowu administracja pozwala na jej rozbudowę. Dzisiaj już pomieści 100 osób. Wróćmy jednak do samego Żłóbka!

Żłódek ma dwu lekarzy, którzy studiowali medycynę europejską. Siostry mają również odpowiednie wykształcenie w tej dziedzinie. Zgony niemowląt zmalały do minimum. Liczba przyjętych sierót rocznie waha się między 800 - 1000. Umiera połowa. Duży procent, jeśli będziemy patrzyli tylko na cyfry statystyczne. Musimy jednak pamiętać, że do Żłóbka przynoszą dzieci umierające i kaleki. Zdrowe dziewczynki nadzwyczaj rzadkie. Aby usprawiedliwić jeszcze duży procent zgonów, muszą zaznaczyć, że obecna S. Przełożona przyjmuje dużo sierót konających tylko ze względu na chrzest. W statystyce administracji te sieroty wcale nie są zanotowane. Statystyka natomiast Sióstr uwzględnia wszystkie zgony, ponieważ rok rocznie zdaje relację dzieci ochrzczonych w niebezpieczeństwie śmierci. Gdy się przejdiesz do Żłóbka, nie znajdziesz dziewczyny zdrowej, wszystkie bezdomne, głuchonieme, garbate, idioty i t.d. Jeśli więc dużo umiera, to napewno nie dla tego, że brak tam należytej opieki, ale dlatego, że wszystkie ukonne i zarażone.

Zwiędź Żłódek w dzień zapłaty karmicielek. Przeszło 100 kobiet jest tam, piastujących niemowlęta, którymi się opiekują. Wszystkie cisną się do Siostry, domagają się swej zapłaty. Karmienie sierotki kosztuje \$ 2,00 czyli 2 zł. polskie. Przy tej okazji Siostra ma sposobność zbadania stanu zdrowia niemowlęcia. Jeśli która kobieta zaniedbuje się w swych przyjętych obowiązkach, otrzymuje zasłużoną nagnę. Jeśli po miesiącu nie widać poprawy, odbiera się niemowlę i zleca innej litościwszej duszy. Po większej części jednak te kobiety to biedne wdowy, które uprawiają pewnego rodzaju handelek. Co się to nie robi dla tych kilku groszy? By móc zarobić te \$ 2,00 miesięcznie, gotowa jest na wszystko, nawet z uszczerpkiem dla wychowania swych własnych dzieci. Wszelkiej niesprawiedliwości muszą zapobiegać Siostry, stąd od czasu do czasu wizytują po domach swe pupilki, tak jak zresz-



ta wymaga tego kontrakt zawarty z administracją.

W piękny dzień letni, kiedy słońce wysoko na niebie i przypieka nieśmiękownie plecy, w Złóbklu wzystkie dziewczyny zasiadają na swym stożeczku na wietrznym korytarzu i kręcą powrozy ze skóry ryżowej. Jest to zresztą codzienne zajęcie dziewcząt niewidomych. Skórę zakupuje administracja. Powrozy gotowe sprzedaje się następnie w składzie w mieście. Na utrzymanie oczywiście nie zarabiają, ale przynajmniej dzień pracowicie przepędzą.

Inne dziewczyny, które mają oczy zdrowe, lecz pod innym względem ułomne, pod przewodnictwem Siostry haftują alby, komże, firanki i tym podobne rzeczy. Gotowe hafty Siostry wysyżają do Domu Centralnego na sprzedaż.

Na tym samym oddziale uczą się haftów także dziewczyny z miasta, zarowe oczywiście. Jest to pewnego rodzaju kurs haftów, które Siostra udziela zadarmo.

Tak się przedstawia w głównych zarysach praca upośledzonych sierót.

### Z moich ostatnich wycieczek misyjnych.

Ks. Paweł Kurtyka.

Jak rolnik, kiedy słońce przygrzeje, z wiosną wychodzi z pieleszy domowych, by się przyjrzeć roli, tak i misjonarz, rolnik Boży, z wiosną rusza uprawiać ugory. Trzeba obejść wszystkie kapliczki, wszystkich podnieść na duchu, oczyścić serca i nakarmić Sakramentem Pokuty i Eucharystji.

Marzec jeszcze zimny w Wenchow, ale cośkolwiek pogodniej, następnie zaczął lać deszcz jak z cebra, ani za próg nie wychodź.

W samą urocz. św. Tomasza z Akwinu jestem w Dzie-o-ka. Ugór tu straszny. W pięknej kapliczce tutejszej zbudowanej przez Siostrę Miłosierdzia, Angielkę, modliłem się gorąco do tego uczonego świętego, by choć krople swego światła i świętości użytych temu tutaj ludowi, by zawrócił na drogę Bożą. Włożono tu dużo pracy i grosza, a ugór został ugorem. W nauce do chrześcijan nawożywałem ich do gorliwości, by byli owymi dziesięcioma sprawiedliwymi Sodomymi, by gniew nie spadł Boży. Słowa groźne ale niestety prawdziwe. Do spowiedzi tylko dziewięciu się znalazło!

Wyszedłem na opłotki. W samym sercu wioski urządzano widowisko publiczne, przedstawienie rubaszne, pogańskie, zabobonne. Tkumy ludzi miejscowych i dalekich okolicznych wiosek. Mimo deszczu młodzi i starzy z parasolami i bez, w obłwiu i bez, ciągną po błotnistych ścieżkach, by coś zobaczyć. Koszta ponoszą miejscowi. Myślę sobie, gdyby tak ci ludzie spieszyli do kościoła, do Boga! Koszta igrzysk starczyłyby na utrzymanie służby Bożej. Ale trudno, twardy ugór. Wstępuję do "domu przedków". Rudera, skąd trumien, niektóre z napisami właścicieli, na których czekają. Mogą sobie przyjść zobaczyć "skrzyżnię czworoboczną", jak je nazywają, w których kości złożą. Widząc trumnę, radość napełnia serce Chłi:



czyka, nie będzie kłopotu po jego śmierci, domek dla ciała ma przygotowany, o duszy nie myśli zupełnie. Trumna gotowa jest znakiem zamczności i nie budzi grozy śmierci, sądu Boga i potępienia. Dla nas to nie zrozumiałe! Obok trumien jedni na stole inni na ziemi grają namiętnie w kości. To straszny nałóg, plaga Chin. Ile tam przepada majątków! Obecnie surowy zakaz sądu, więzienie za gry. Cóż, kiedy ten sam policjant na stronie hołduje tej samej namiętności, trzeba by innej ręki bezwzględnej. W okresie nowego roku, dni wolne od pracy i policja bezsilna, zakłada ręce. Podchodzę do graczy, zaledwie okiem na mnie rzucili i bili dalej.

A jednak okolica ładna, usiana wioskami, mieszkańcy ubodzy ale i zamożnych nie mało. Trzeba by tu osiąść i promieniować, dałoby się coś zrobić, jestem jednak bezsilny.

Budy. Niestety cała noc deszcz, rano deszcz, mało wiernych, choć wielu bardzo gorliwych. Jedna staruszka lamentuje. Syn sam zgłosił się do wojska i poszedł, codziennie płacz i narzekanie. Ma jeszcze dwóch i córkę otoczoną trzema córeczkami! Jeszcze staruszcze mało, serce matki nienasycone. Tylko inna matka może je zrozumieć. Młoda matka patrzy na mnie krzywo. Pytam jej: to twoje dzieci? Tak, troje, wszystko córki! Ma żal do Boga i religji, że nie ma syna! Pocieszam ją, że i to dar Boży, niech da ze dwie na siostry zakonne, taki brak siostr, obiecuję jej, że czwarte na pewno będzie chłopiec. Śmieje się z radości. Pocieszam ją: jeden z naszych katechistów ma siedem córek, ani jednego chłopca a nie rozpacza, wola Boża!

Gospodarz domu chce dać dwóch swoich chłopców do naszej szkoły ale targuje się ze mną o cenę. Powiadam, musisz zapłacić 16 zł. i to z łaski, bo to za mało za cztery miesiące za mieszkanie i wikt i t.d. Stanęło na 14, wypłacił na razie 10, resztę później, bo nie ma! Misjonarz musi dodać!

Waje, kaplica Matki B. Częstochowskiej. Strych, bo strych ale zawsze pod dachem. Dużo katechumenów, mnóstwo młodzieży, to nasza nadzieja i przyszłość. Lówek w kaplicy za mało, znowu ksiądz ma się o nie postarać! Przed paru dniami wybuchł pożar na dole pod kaplicą. Ugaszono szczęśliwie, powtarzają sobie "Pan nieba uratował"! Widzę jednego chłopca może 15 letni. Wszyscy wyprzedzają się, by mi opowiedzieć, jak on gorliwy. Powoli sam go wypytałem o szczegóły. Matka umarła, ojciec gracz namiętny, ma kawałeczek pola, prawie cała praca spada na chłopca. Wiemnie czci Boga, co niedzielę jest w kaplicy. Z początku ojciec groził mu przekleństwem wszystkich przodków, słowa straszne, ale chłopiec oświadczył, że się nie boi, będzie czcił Pana nieba. Radzę mu, by przyszedł do nas, do miasta, do szkoły katechizmowej. Slinka mu idzie ale dwie trudności, on nie może zapłacić, powtóre: co ojciec powie? Po chwili przynosi mi odpowiedź ojca, że się zgadza i zapłaci nawet dwa złote! ale dopiero na drugie półrocze. Czy to jednak nie wybieg starego? Nie szczędzę mu zachęty.



Inna propozycja: W miejscu nie ma szkoły dzieci jednak znaczna gromadka. Urządzono zatem, że jeden z miejscowych naszych chrześcijan otworzy szkołę w "domu przodków". Dzieci dadzą mu na rok po złotówce, będzie miał około 40 zł. prosi o dodatek trzydziści złotych i zobowiązuje się uczyć wszystkie dzieci katechizmu. Powiadam mu: dobrze, szkołę otwórz, zobaczę, jak pójdzie, potem jestem gotów ci coś dodać.

Ach, trzeba by tu zabawić kilka dni, pogodnych, wygłosić parę kazań do pogan, ale gdzie tu zamieszkać, na strychu niepodobna; brak czasu. I znowu siedzę w Łódce, która spokojnie niesie się po rozlanych toniach rzecznych, przy najwyższym stanie przypływu morza, do miasta Wenchow, gdzie czeka spraw mństwo.

Następnej niedzieli 12 marca już jestem na południe od miasta w Modzie. Kaplica śliczna, dar zakonnicy francuskiej. Chrześcijan spora garstka, ale znowu deszcz psuje wiele. Praca tu należy do łatwych, kaplica wygodna, pokój dla księdza, katechista miejscowy da jeść. Elementarne potrzeby zaspokojone, daleko do wygody.

Posadzka kaplicy cementowa, wilgotna, w pokoju księdza tylko trzy meble: krzesło możliwe najskromniejsze z podłogą z desek, posciel trzeba sobie przynieść, stół i ławeczka.

Ale jednak jest się i siebie. Wczynie obiadu przyszła gromada protestantów. Mój katechista zaczyna dysputę, tłumaczy im wiele, mieszają się i ja do rozmowy. Rzuci się nasiona, ale czy wejdą? Przychodzi matka z chłopakami, może 18 letnia. Dobrze zbudowany mężczyzna, przystojny, cięśla z zawodu, ale od paru tygodni opętał go djabeł. Wzywano katechistę, modlono się, bolki poszły w kawałki, obecnie znacznie lepiej, ale chłopiec jeszcze nie "swój".

Mimo woli zastanawiam się, czemu taki zupełnie nie "przychodzi do siebie"? Bóg zna do głębi serce ludzkie, my tylko powierzchownie. Dziś powtarzają się te same wypadki, jak za czasów Chrystusa Pana. Z dziesięciu oczyszczonych z trądu tylko jeden przyszedł podziękować Zbawicielowi. Bóg się nie spieszy z zupełnym uzdrowieniem, by ich zmusić do wytrwania. Ma tu na miejscu inny przykład. Przed paru miesiącami opętał szatan dziewczynę może 16 letnią pewnego leniwego, zimnego katolika. Poproszono katechistę. Modlitwa, woda św. przyprowadziły ją do zupełnej równowagi. Wszyscy wrócili do gorliwości. Obecnie ojciec już ją zareczył potajemnie z protestantem, a wie, że mu za to grozi wykluczenie z Kościoła katolickiego.

Poganie czczą swoje bolki w ten sposób, że raz, dwa razy w roku rzuci jakiś oheńb świecy, pokłonu, każidkę bożkowi i idzie do pracy. Obowiązek spełnił, bożek nie powinien go przesładować, zostawić go w spokoju. I nowy chrześcijanin zdaje się, że Bóg jest takim głodnym żebrakiem, który zadowolony jest czemś od niechętnia. Tymczasem Bogu trzeba się oddać całkowicie z duszą i ciałem i to na zawsze, nieodwołalnie. Takie usposobienie wyrabia się dopiero powoli.



I znowu z deszczem w góry, ile kilometrów? Cztery godziny drogi zwąyam krokiem. Wieczorem jestem w Du-bin. Najpierw zapatruje gospodarza domu, którego jesteśmy lokatorami. Dobry katolik. Ciężko chorzy. Krowi przyszedł do niego z namowami, że dla uzyskania zdrowia musi czcić boski. Odmówił im stanowczo, on czci jednego Boga. To ładne. Nie ma niestety syna. Córkę dał chrześcijanowi ale niestety tylko ze chrztu, nie czci nic i nie myśli. Jeżeli stary pójdzie do nieba, nas z domu wyrzuci! Wnocy zimno przenikliwie na strychu. Pokój mój to tylko kółko oddzielone płotem od reszty strychu, drzwi niema. Uneblowanie to kółko i ławeczka, ani stołu.

Nasi chrześcijanie, górale, bardzo rozproszeni po wertepach, z trudem można ich zebrać. Marja Niepokalana patronką kapliczki, Jej zleciłem całą opiekę, bo nie ma żywej duszy świątnej do tego.

I znowu w drogę do Czian-pe. Zimno przenikliwie, w nocy deszcz. Kaplica na strychu, pokój nieładna to już samo kółko w kącie strychu, już bez żadnego odgrózdzenia i bez żadnego mebla. W nocy i piasecz rzuciłem na siebie ale i tak było zimno. Protestanci mają murowaną kaplicę. Mężczyzn zebrało się dość dużo na mszy św. kobiet znacznie mniej. W Chinach wszystko na odwrót, płęć męska należy do pobożniejszej, niewiasta oporniejsza, ale kiedy się nawróci, to podpora Kościoła.

Wierni nasi proszą mnie o katechistę-nauczyciela. Niestety próbowałem, nie udało się. Dzieci wszystkie zajęte ścinaniem na górach opału. Ludność bardzo biedna; cenna, każda siła robocza. W powrotnej drodze spotykamy i nasze dzieci katolickie przy pracy. Zaraz po mszy św. biorą ciężary i niosą w dolinę. Ścinają w górach sosny, rżną na klocki i niosą je do handlarzy, którzy je kupują na wyrób pudełeczek do zapalek. W górę niosą dachówki. Jedna dziewczyna może 11 letnia niesie na równi z mężczyznami ciężar proporcjonalny do swych sił. Pytam malca chłopca, który się ugiął pod ładunkami, ile ma lat? Powiada nieśmiało, nie wiem. Wygląda na 8 lat! Cóż tu mówić o prawach regulujących pracę małoletnich!

Wracam do domu cały w myślach, planach. Trzeba nam zakonnic, nauczycielek tubylczych. Zgłoszeń byłoby może i dość ale trzeba móc organizować, trzeba mieć środki. Na razie nie możemy, zależymy od innych, mało mamy poparcia, by być usamodzielnieni. Ach, dziś dąłoby się otworzyć szkółki, niktby nas nie przeszkadzał, ale wiecznie odsuwa się to dalej i dalej a z tem i nawrócenie dusz idzie w odwłokę. Pracy wiele i wdzięcznej ale rąk mało.

Nasz sekretariat na Polskę  
prowadzi:

Wszelkie ofiary dla nas prosimy  
posyłać pod adresem:

Wielebna Siostra Katarzyna Wójcik

Zgromadzenia Sióstr Misjonerek

Kraków, ul. Warszawska 6.

Popierać Misję t. z. mieć serce szerokie.



## Chiny na przełaj.

Ze wszystkich chorób, które nawiedzają człowieka, słusznie można powiedzieć, niema nic straszniejszego od trądu, ponieważ czyni on człowieka "wyrzutkiem społeczeństwa". Już w Piśmie św. słyszymy "nieczysty, nieczysty", gdy wypędzano trędowatych w góry do jaskiń aby tylko nie stykali się z ludźmi. Ale Kościół nie dąpza od siebie tych nieszczęśliwych, owsem opiekuje się nimi.

Obecnie na całym świecie, Kościół ma pod swoją opieką przeszło 25,000 trędowatych. Misjonarze i zakonnice prowadzą więcej niż 110 trędowni, nie licząc mniejszych przychodni. Sławne są trędownie w Molokai, gdzie pracował O. Damien: w Magakoi, na wyspie Fiji: na Madagaskarze, i.t.d. W Chinach również jest sławna trędownia w Sheklungu, niedaleko Hongkongu. Jest to największa instytucja tego rodzaju w Chinach, a może i na całym świecie. Trędownia ta jest prowadzona przez zakonnice ze zgom. Sióstr Niepokalanego Poczęcia. Jakkolwiek Siostry te cieszą się wielkim poważaniem u Chińczyków, są jednak ludzie, którzy nie mogą ocenić tego dzieła, kierując się tylko własnym zyskiem. Niedawno trędownia została napadnięta przez bandytów i doszczętnie zrabowana.

Wieczorem, około szóstej godziny, pierwsza banda bandytów napadła na trędo wnię i domagała się pieniędzy od Sióstr. Ale pieniędzy w domu nie było. Więc zaczęto brać co się tylko dało. Chcieli zabrać i naczynia święte, ale gdy się upewnili, że nie są złote, zostawili je. Nie oszczędzono trędowatych i bezdomnych, w liczbie około 1,000, którzy schronili się tu przed zawieruchą wojenną. Pokradli co się tylko dało zabrać. Po pół godzinnej przerwie, druga banda zaczęła rabować. Podczas nocy powtarzało się to osiem razy. Misję doszczętnie zrabowano. Jedna z tych ostatnich band zabrała naczynia święte. Zabrano wszystko: pościel, maty, maszyny do szycia, ubrania, nawet zabrano Siostrom habity i pościel na której leżał sparaliżowany ksiądz, a który większą część swego życia oddał na usługi trędowatych. Jednego trędowatego, który miał opiekę nad stadem, zabili, gdy nie chciał ich wpuścić do wnętrza. Siostry jednak nie tracą ducha, są pewne, że Bóg je wspomże i pobłogosławi w ich pracy.

Ta szczególną opiekę Bożą często się spotyka w Chinach, a zwłaszcza teraz, podczas wojny. Otóż n. p. w pobliżu pewnej misji katolickiej szalał ogień, którego pastwą stały się pobliskie domy. W rezydencji, okna stopiły się od gorąca. Ludzie rzucili się na ratunek. Ze studni misyjnej czerpano wodę przez parę godzin. Ale wody zabrakło. Wtedy proboszcz pobłogoszawik studnię i kazał dalej z niej czerpać. Chociaż znowu czerpano z niej przez cały dzień wody nie zabrakło i zdołano uratować zabudowania misyjne.

W innej misji, podczas bombardowania miasta, jedna bomba przebiła dach i spadła na kółko, gdzie nastąpił wybuch. W pokoju stał Brat i przy eksplozji został rzucony o ziemię. Rzecz dziwna, chociaż pokój cały został zniszczony i części bomby były porzucone po całym pokoju, Brat został tylko lekko ranny.



Kościół Katolicki z powodu prześladowań i nieprzychylności władz miejscowych, stawał wobec wielkich trudności, a w wielu wypadkach zdarzało się, że misjonarzy wypędzano a majątek misyjny zabierano i przeznaczano do użytku władz miejscowych. Później, gdy nastawały spokojniejsze czasy, misjonarze wracali i musieli zacząć od początku. Niektóre dawniejsze posiadłości Kościelne trudno było odebrać, ponieważ brak było dowodów, a z czasem, nawet zapomniano że niektóre domy należały do Misji.

Ojcowie Dominikanie we Fukien, dziwnym zbiegiem okoliczności otrzymali z powrotem dawniejsze swe zabudowania misyjne. Ojciec pewnego nauczyciela, który uczył języka chińskiego w misji, przepisywał stare akta cywilne, w miejscowym urzędzie. Podczas przepisywania, spostrzegł że niektóre zabudowania, obecnie w posiadaniu miasta, w 17 wieku należały do Misji Dominikańskiej, to jest, aż do czasu wydalenia ich z prowincji. Wtedy te kościoły i mieszkania zostały zabrane przez władze miejscowe. Fasada kościoła została pokryta grubą warstwą wapna, tak że znaki chińskie, "Tien Chu Tang", oznaczające Kościół Katolicki, zostały zakryte. Niedawno posiadłość zakupił ktoś inny, i przy odnawianiu zabudowań, zauważono charakter: "Tien Chu Tang." Po zabiegach w urzędzie miejscowym, i po przeglądnięciu starych aktów posiadłościowych, uznano że zabudowania należą do Misji. Wkrótce, potem, Dominikanie otrzymali wszystkie swe zabudowania.

Kto wie, gdyby zaczęto przeglądać stare akta w innych urzędach miejscowych, może i inne misje dowiedziałyby się o sw. ch dawniejszych posiadłościach.

Ks. H. Sawicki.

Drugiego marca rozpoczynamy misje...

Ktoś puka do drzwi mojego pokoju. "Proszę wejść", mówię po polsku, poznając po zdecydowanym chodzie mojego proboszcza Ks. Grabkę. Przynosi pliki papierów, rozkłada na stole i tonem wodza ogłasza: z katechistami ułożyliśmy plan obecnych misyj; tobie przypadają następujące kaplice, tu wyliczył dziewięć, te, gdzie ja byłem zeszłego roku. "O wielki to dla mnie zaszczyt, że młody wikary będzie mógł kroczyć śladami swego proboszcza", odzywam się doń tonem uniżonej grzeszności chińskiej. - "Misje rozpoczynamy drugiego marca", dorzucił do swego mandatu.

Przerzuciłem okiem parę kazań, ministrantowi poleciłem przygotować skrzynkę misyjną i złożyć pościel na łóżko i drugiego marca stoje gotowy do drogi. Ks. Grabka buduje kaplicę w jednej miejscowości, gdzie miałem mieć misje, pragnął zobaczyć jak idzie praca. Więcej obydwu ruszamy w jednym kierunku. Przed nami dwaj tragarze przy numerowi krakowscy, zabrali rzeczy i ponieśli na mięsistych



barkach po tysięcznych schodach górskich. My dwaj kroczyliśmy za nimi, dzieląc czas na opowiadania i plany co do rozbudowy dzieł misyjnych naszej parafii Funclin. Wspinamy się na wysoką górę, idąc raz po raz po tak stromej drodze, że przygarbieni możemy śmiało rękami dotknąć ziemi. Czasem czepiamy się przydrożnych krzewów, by sobie ułatwić stąpienie o jeden stopień wyżej na tej niebotycznej i stromej ścieżce. Droga męczy nas wielce, pot obfity strumieniami zalewa czoła. Dobrze jeszcze, że na nogach mamy gumowe buciki, niby tenisówki, inaczej po gładkich i stromo ułożonych kamieniach drogi, darnoby już człowiek zleciał w przepaść.

"Niech ci Bóg zapłaci Ojciec misjonarzu". - Przychodzę do jednej miejscowości. Piękna grupa, około setki chrześcijan zebrała się na powitanie misjonarza. Kłaniają się wszyscy do pasa i pytają według szych zwyczajów, jak się szło po górach. "Doskonale", trzeba koniecznie odpowiedzieć, choćby dusza na ramię wychodziła ze zmęczenia, bo tak wymaga zwyczaj i ten grzeczności chińskiej. W Chinach wobec Chińczyków wszystko co chińskie trzeba chwalić, choćby ta rzecz nie miała żadnej wartości. Wszystko co swoje ganić, oto podstawy kurtuazji. Po powitaniu i po krótkiej rozmowie zauważam w grupie chrześcijan pewną chrześcijankę pełną smutku. Cała zapłakana, chusteczką ociera łzy. Pytam o powód płaczu. Nie może słowa wykrztusić, odpowiadają inni. Oto jej matka oddawna legła w grobie, ojciec przed rokiem poszedł do nieba po nagrodę. Długie lata był katechistą, pracował dla Kościoła i z pensji 140 złp. rocznie utrzymywał całą rodzinę. Dziś ojca nie ma, a domu nędza ostateczna, gruntu nie posiadają, nawet i domu własnego nie ma. Chrześcijanka ta wyszła zamaż i gdzieś na górach kłopotie biedę chińską. Pozostał jeszcze mały braciszek 11-12 - letni. Biedna sierota! Nikt go nie chce przyjąć. Krewni biedni, tuła się między ludźmi, odpychany od domu do domu. Ułitował się stryj, przyjął pod dach bezdomnego, daje mu ryżu do jedzenia, ale na kupno cieplejszego ubrania i bucików już go nie stać. Przeprowadzają do mnie chłopczyka, by zaradzić biedzie. Widzę na nim ubranie składające się z łat, buciki takie, że palce szukają słońca. Żal mi się zrobiło tej biednej sieroty, dygocącej z zimna. Gdyby tak ojciec i matka jeszcze żyli, to napewno byłoby inaczej. Chłopczyk ten jak anioł miły podnosi główkę i nieśmiało opowiada mi swoje nędze. "Ojciec misjonarzu, ja nie mam ani ojca, ani matki, nie mam ubrania ani bucików, dopomóż mi". Dobrze, pomyślę o tym. A czy już byłeś do Pierwszej Komunii św. ? " Tak , byłem już parę razy do spowiedzi i Komunii św. Religii uczyłem się w szkole katechetycznej w Tenchow". Na drugi dzień ślicznie przystąpił do Komunii św., rączki pięknie złożył, cały uradowany, że może przyjąć do serduszka P. Jezusa. Co za radość dla misjonarza, gdy na drodze swego apostołstwa, znajdzie takiego anioła na ziemi!



Jest to zapewne największe zadowolenie i szczęście, jakie starczy za wszystkie trudy i ofiary. Następnego dnia ruszyłem do dalszej kaplicy. Wobec wszystkich chrześcijan siostra i bracia żegnają mnie słowy: "Niech ci Bóg zapłaci Ojciec misjonarzu"! Bza osuszona, serce pocieszone, zasługa w niebie zapisana! Szedłem dalej w głębokim skupieniu, rozważając ile radości sprawiła mała samotna misjonarza. "O niech ci Jezus błogosławi, mały aniołku chiński", modliłem się za niego całym sercem.

- Sześć razy "na barana" przez wodę.- Pogoda nie dopisywała na misjach. Codziennie deszcz i deszcz. Wieczorem, gdy byłem w kaplicy, wypogadzało się na chwilę, by na drugi dzień w czasie podróży z tą większą siłą dać się we znaki biednemu misjonarzowi. Niebo pokryło się chmurami ciężkimi, z których lały strumienie wody. Mimo takiej pogody musiałem ściśle wypełnić program i w oznaczonym dniu stawić się na miejsce w danej kaplicy. W razie, gdyby misjonarz nie przyszedł w umówionym terminie, to strata dla tutaj szcych bardzo biednych chrześcijan, przyrzadzających jedzenie. Z powodu stałego deszczu, drogi były wszystkie zalane. Nie było innej rady, tylko albo samemu sięgnąć buciki i po pas brodzić w wodzie, lub też usiąść na karku drugiego i tak dostać się na przeciwny brzeg. Wybrałem to ostatnie. Następną kaplicą położoną o 15 km w górach. Zanim doszedłem na miejsce, sześć razy musiano mnie przenosić na plecach. Miejscami woda była bardzo głęboka. Mimo, że skulony siedziałem na plecach bliźniego, to nieraz zamaczałem i buciki i sutannę. Prąd rzeki bystry, woda podmywała nogi mojemu tragarzowi, zanurzonemu po pas w mętnej wodzie. Nieraz tracił równowagę, kolebał się, przestępował z nogi na nogę, by trafić na perny grunt. Myślałem, że już obydwaj runiemy. Modlitwa do św. Anioła Stróża, by mnie z jakiejś strony podtrzymał, dodawała ufności. Raz przeprawa trwała jakie dobre 10 minut, nim dobiliśmy brzegu. Mój tragarz sapał nie lepiej jak lokomotywa, siły go opadły, zataczał się w wodzie jak pijany. Dreszcz zimny mnie przechodził, kiedy za każdym jego zataczaniem się, nogi moje zanurzały się głęboko w wodzie. Tymczasem deszcz ani na chwilę nie ustawał. Sutanna moja całkowicie przemokła i ociekala woda. Buciki wyglądały jak dwa syfony wody. Przez parasol lało się na głowę, jak przez dziurawy dach na chińskiej wikarówce w Funglin. Późno wieczorem stanąłem na miejscu. Grupa chrześcijan wita przybyłego gościa utartymi słowami chińskiej grzeczności: Czy dobrze się sało? "Doskonale", odpowiadam. Miłemu ochotę zaraz położyć się na zasłużony wypoczynek. Ale najpierw czekał mnie obowiązek, chrześcijanie byli w kaplicy do spowiedzi. Późno w nocy skończyłem. Dałem buciki i skarpetki do osuszenia w kuchni. Jak widać po spalonych sznurówkach musieli dobrze ogrzewać i suszyć. Następnego dnia zjedliśmy wcześniej obiad patyczkami i w dalszą drogę do ostatniej kaplicy. B yłórónie



15 km. do przebycia. Pogoda naogół dopisywała. Czasem tylko "lekko" kropnęło, jak z dziurawego kropidła przed sumą na misji. Noc śliczna, księżyc przyswiecał. Radość wstąpiła we mnie, bo nareszcie podróż pod "rynną" miała się skończyć. Ktoby u wierzył, że rano niebiosa popuściły hamulce i strugami wylewały wody na żółtą rasę. Na szczęście koło 8-mej nieco ustało, chrześcijanie zgromadzili się na Mszę św.

Chiński Krzysztof. - Po Mszy św. miałem zaopatrzyć chorego, przynosząc mu wiatyk na drogę wieczności. Dowiaduję się, że chory mieszka za rzeką. Zwyczajnie, gdy wody nie wiele, można swobodnie po ustawionych kamieniach dostać się na drugą stronę. Teraz wody przybyło. Eodzi nie ma. Ludzie zdejmują buciki i tak maszerują w wodzie. Trudno, by w ten sposób iść z P. Jezusem. Po naradzie z katechistą ukończyliśmy, że jeden chrześcijanin wypożyczy swoje szerokie plecy misjonarzowi. Po Mszy św. zarzucam małą stulę na szyję, zawieszam w bursie Najśw. Sakr., opinam sutanną i tak w ukryciu przed okiem pogan niosę skarb nieba. Tuż przed rzeką wdrapałem się na barki mojego Krzysztofa, objąłem go rękami i tak brodziliśmy po szumiących falach wód. Widocznie razem z P. Jezusem dobrze musieliśmy przyciskać do ziemi naszego nosiciela, bo ten parę razy podrzucił mnie na plecach, by sobie poprawić. Ciekawym, czy za życia P. Jezusa na ziemi też Go tak przenoszono i podrzucano w czasie tury apostoelskiej? Zachodzę do chorego. Stary chrześcijanin, siwiutki jak gołąbek, oczekuje dnia, kiedy oglądać będzie światło wiekiście. Teraz właśnie przyszło do niego światło - Gość z nieba. Na Jego przyjęcie nie tu nie zrobiono. Chrześcijanin mieszka w domu pogańskim. Wszyscy tu zażarci czciciele diabła. Nie było mowy o jakimś przystrojeniu domu. Krowini już dać mo przenieśli się na tamten świat. Pozostał jedyny brat i to poganin. Ten ulitował się i przyjął go pod dach. Stół nakryto szmatą, zapalono dwie świece, krzyż ustawiono w środku. Zostawiam na stole Najśw. Sakr. by wysłuchać spowiedzi. Potem Komunia św., którą przyjął z taką wiarą, jak Symeon sprawiedliwy Zbawiciela świata. Dziękowałem, że mimo drogi niewygodnej, przyniesłem mu Komunię św. W drodze powrotnej mój Krzysztof mówi: księżo, to ja dziś niosłem P. Jezusa do chorego! Naprawdę, wielkie szczęście, odpowiadam, bo dziś niosłeś Tego, który i mnie i ciebie nosi

Grzecznościowej orki. - W ciągu tych dni odwiedziłem 9 kaplic, wysłuchałem 220 spowiedzi, rozdałem tyleż Komunii św. odbyłem pieszo drogę koło 100 km, mając codziennie nowe porcje wysokich gór do przebycia. Deszcz pomagał, podlewając plon misjonarza. Trzeba mieć nadzieję, że będzie rosło słowo Boże i wyda owoce, bo strugi rosy niebieskiej nawadniały winnice Pańską. Matka Najśw. będzie pamiętała o tej orce, którą pod Jej macierzyńskim oknem i dla chwały Jej Syna dokonuje misjonarz dwa razy do roku.

Ks. Fr. Bąba.



## Historie...Historyjki...

Na podstawie książki L.Z.Yuan'a p.t. "Sidelights on Shanghai" - Szanghaj w boczny oświetleniu!

Skreślił Ks. Wieczorek.

Chińscy ryksiarze...

W lot się orientują, czyś jest bywalcem w danym miejscu lub nowo-przybyłym. Jeśli tym drugim, to z ciebie zedra, ile się da, nieraz i 4, 5 razy więcej, niż zwykajna taksa. Napróżno też będziesz się trudił, by zgóry zapłacić mu całodzienną takse, bo przebiegli ryksiarze i tu mają swoje tryki. W tym wypadku przekonasz się, że najpierw biegnie on żółtym krokiem. A potem za niestem już będzie ci przekonywująco doradzał, że warto wspinać się na ten tam pagórek, lub iść jeden lub dwa kilometry tam, gdzie te drzewa się zielenią, bo to miejsce godne zobaczenia. A gdy tam dotrzesz, to ujrzyś starą świątynię w ruinach, studzienkę w krzewach, lub drzewo, któremu miano oddawać cesarskie honory za to, że długie przeżyło lata. A wróciwszy, zobaczysz, że zmarnowałyś 3 godziny czasu i ryksiarza drzemającego w cieniu drzew i śmiejącego się w duchu z ciebie, że cię nabrak na sceniczno-widokową wadkę.

Nadmiar niedziel

Jeden z dzienników chińskich podał wiadomość, że władze miasta Chengtu, w prowincji Szechuen, zarządziły zachowywanie 3 różnych niedziel w tym samym tygodniu. Cała ta "afera" bierze początek z "niemoralnego" zachowania niedzieli przez żołnierzy i studentów, którzy cały ten czas spędzali na flirtowaniu ze studentkami. Wobec tego władze zarządziły, że sobota będzie niedzielą dla żeńskich szkół, niedziela - niedziela dla męskich, podczas gdy żołnierze będą świącić swoje niedziele w poniedziałek.

Na falach czasu  
w Wenchow

zebrał  
Ks. J. Wieczorek

Wielka Noc

Należy tu do wielkich świąt, wielkich w znaczeniu najuroczyściej obchodzonych. Ale nie ma tego uroku, co naszej kochanej Polsce lub wśród Polaków w Stanach Zjednoczonych. Niema grobów, rezurekcyj, święconego.



Za to tutajsi chrześcijanie już *w wielki czwartek* sprowadzają batalion robotników, którzy budują coś a la veranda, a potem kuchniki restauratorskie znoszą stoły, krzesła i inne niezbędności, potrzebne przy jedzeniu. W niedzielę wielkanocną już od rana mniej lub więcej przyjemny zapach chińskich potraw pcha się do odbiornika nosowego. To bogatsi chrześcijanie podejmują się wzajemnie obiadem za swoje pieniądze, bo inaczej Wielkanoc nie byłaby Wielką. Łachmaniarze natomiast podejmowani są skromnym posiłkiem kosztem przeważnie kuchni misyjnej

Tego roku pogoda dopisała, więc uroczyście było, a-ż hej. Tylko alarm lotniczy tuż przed sumą zepsuł nastrój świąteczny. Szczęście, że był tylko suchy i szybko go odwołano, tak, że wielka msza mogła się odbyć z całą pompą.

Z e w s z ą d  
a l a r m y . . .

Tu u nas w Wenchow lotnicze, a z Europy niepokojące. W ostatnim czasie nastąpiła tu ożywiona działalność lotnicza. Toteż ludność stale podniecona wynosi się na wicś. W ostatnią niedzielę akurat suma kończyła się, gdy groźny gwizd syreny rozległ się wokoło. Alarm trwał blisko dwie godziny.

W i e ś c i  
z

zebrał  
ks. F. Stefanowicz.

Y u n g k i a c h a n g

Z y c z e n i a

Kiedy wracałem z Wenchow do Yungkiachang - było to przed świątami Wielkanocnymi - ks. Wieczorek na sposób chiński złożył mi życzenia świąteczne. Chińczycy to robią w nowym roku księżycowym. Mianowicie: zapakował w koszyczek 4 funty ziemniaków europejskich i złożył mi w darze z życzeniem "Wesołego Alleluja". Ucieszyłem się i tą odrobiną, a jeszcze bardziej mieszkańcy misji w Yungkiachang, bo mogliśmy od paru miesięcy pierwszy raz przegryść chiński ryż - z ziemniakami. Więcej nie mógł mi obdarzyć, bo jako troskliwy prokurator dba o personel w Wenchow. Z Szanghaju zaś przysłali tego nie dużo.

Ś w i ę t a

Prenumerata?

D o w o l n a!

Darmo

wysyłamy dobro-  
dziejom

M i s j i.

Do towarzystwa podróży zabrałem ze sobą z Wenchow ks. Bąbę, by przepędził święta u nas. Trochę nawet i specjalnie po niego przyjechałem, gdy się dowiedział nasz prob., że ks. Bąba przybył do Wenchow. Ów gość po skończonych misjach we Funclin przybył do Wenchow na taki sobie "wypoczynek". Ponieważ ta zacna góraska siedziba dosyć daleko i komunikacja niewygodna, więc święta z radością spędzał wśród nas. Przez dni pobytu jednak nie odpoczywał, ale gorliwie nam



pomagał w ceremoniach wielkotygodniowych usługując litylko za subdiakona. Tak ten urząd umiłował - z pokory. Przy takiej pomocy ceremonie szły składnie, jak za czasów kleryckich na Stradomiu. Dla lepszego uwymyślenia ceremonii jeden z nas nawet wyciągnął zakurzony skrypt z ceremoniami ze Stradomia. A choć kartki się rozlatywały - csencja cseremonii była ta sama z wyjątkiem procesji do grobu, bo tu tego się nie urządza.

### Na groby

W miesiącu kwietniu dała się tu zauważyć specjalność ... Co dzień prawie rozlegały się przed misją bębnienie i trąby jerychońskie - odgłosy pogrzebowe. Ładne duże łodzie przepelnione ludźmi, poprzedzone muzyką, przepływały obok misji, ale trumny nie było widać. To rodzina z gośćmi sproszonymi w dzień obrany przez bonzę, wróźbitę, jechała na grób zmarłego, by okazać swą pamięć. Na grobie takim stawiali stół, rozkładali na nim jedzenie, zapalali świece, patyczki kadzidlane, pałłi znaki wypisane na papierze z życzeniami szczęścia przebywającym na ziemi i spokoju zmarłemu, odbijali każdy po trzy pokłony i wracali zabierając ze sobą jedzenie ofiarowane zmarłemu. Spożywali je spokojnie w domu przy pomocy gości i "muzyki".

W AMERYCE wszelkie ofiary dla nas prosimy adresować: Skarb Rodziny St. John Kanty Coll., Erie Pa. Prosimy także zaznaczyć: dla misji polskiej, Wenchow, Chiny.

Do przeczytania "Misjonarza w Wenchow" podaj go także innym  
1. ... "dobrej woli" i zachęć ich, by odtąd stali się wiernymi  
jego czytelnikami i przyjaciółmi polskiej  
M I S J I - W E N C H O W.

Prosimy bardzo

o  
I n t e n c j e M s z a l n e.

Odprawimy je natychmiast.

Prosimy o podanie nam osób, które interesują się misjami i by-  
łyby gotowe z nami współpracować.

.....

Popierać Misję t. z. być misjonarzem.

Z ramienia Misji Wenchow, ks. Łukasz Sitko obecnie bawi  
w Polsce. Prosimy bardzo o wydatną pomoc dla niego. Jego  
adres w Polsce: Ks. Łukasz Sitko, Kraków, Stradon 4.

"Misjonarz w Wenchow" wychodzi za pozwoleniem Wik. apost. w Ningpo,  
E. Ka. Biskupa André Defebvre.